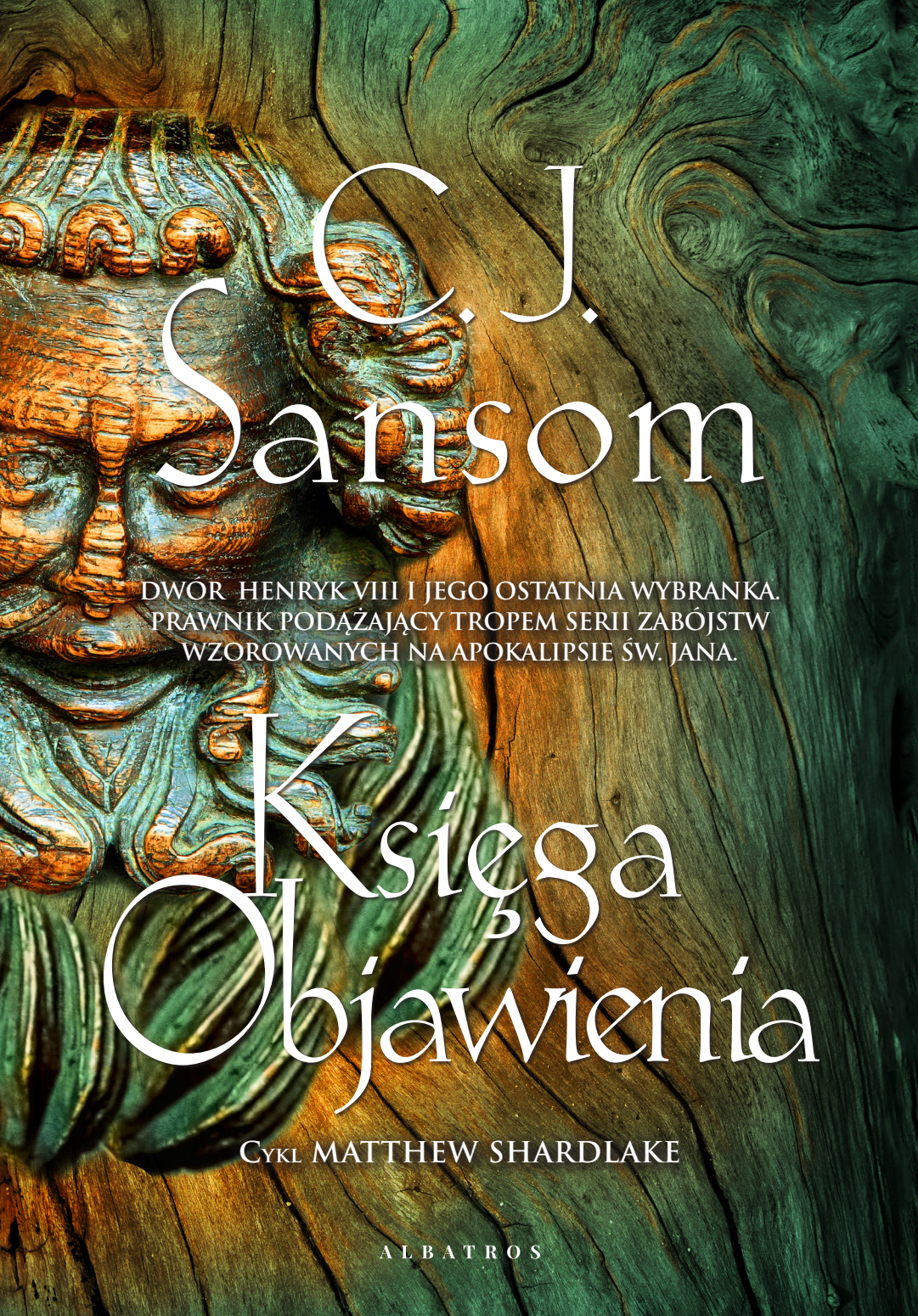




C. J. Sansom

DWÓR HENRYK VIII I JEGO OSTATNIA WYBRANKA.
PRAWNIK PODĄŻAJĄCY TROPEM SERII ZABÓJSTW
WZOROWANYCH NA APOKALIPSIE ŚW. JANA.

Księga Objawienia

CYKL MATTHEW SHARDLAKE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
REVELATION

Copyright © C.J. Sansom 2008
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew Kościuk 2013

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: @ Alamy/BE&W

Opracowanie graficzne okładki: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

Okazałe żyrandole wielkiej sali Lincoln's Inn lśniły płomieniami świec, albowiem przedstawienie rozpoczęło się wieczorem. Przybyła większość członków naszej prawniczej korporacji – adwokaci w togach z małżonkami w eleganckich sukniach. Po godzinie stania grzbiet zaczął mnie boleć, spoglądałem więc z zazdrością na kilku schorowanych leciwych kolegów, którzy przynieśli własne stołki.

Zwykle spektakle organizowano na początku miesiąca, lecz w tym roku okazało się to niemożliwe z powodu dużych opadów śniegu. Choć marzec miał się już ku końcowi, było niezwykle zimno jak na tę porę roku – tak zimno, że widać było oddechy aktorów i publiczności, wznoszące się jak dym ku belkom wysokiego stropu. Tego roku wystawiono nowe intermedium *The Trial of Treasure* – nudną sztukę o moralnej wymowie, w której wystrojeni aktorzy odgrywali ludzkie przywary i cnoty. Kiedy aktor grający Cnotę, w pięknej białej szacie i ze sztuczną brodą, zaczął gromić Obludę za jej oszukańcze fortele – co skądinąd wydawało się słuszne, jako że na sali byli prawnicy – odpłynąłem myślami. Spojrzałem na okryte cieniem twarze zebranych. Na skarbnika Rowlanda, zgryźliwego staruszka o wychudłej twarzy, spoglądającego na aktorów takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zatrudnić trupę grającą w mniej ekstrawaganckich kostiumach, skoro sztuka nie wymagała wymyślnej scenografii i strojów. Nieopodal stał mój dawny wróg, Stephen Bealknap, obserwując kolegów

chciwymi jasnoniebieskimi oczkami. Drań był wśród prawników największym krętaczem, jakiego znałem. Nadal bolałem nad tym, że osiemnaście miesięcy temu musiałem wycofać pozew przeciw niemu z powodu podłych machinacji jego patrona Richarda Richa. Bealknap sprawiał wrażenie zmęczonego i schorowanego.

W oddali dostrzegłem swojego przyjaciela, Rogera Elliarda, który zaprosił mnie na kolację zaraz po przedstawieniu. Stał obok żony, trzymając ją za rękę. Na deskach rozpoczęła się kolejna scena. Pożądanie zawarło właśnie pakt ze Skłonnością do Złego. Aktor grający Pożądanie objął towarzysza, po czym nagle zgął się w pół i upadł na kolana.

*Biada! Jakaż to namiętność nagła
owładnęła mną tak silnie, że ustać nie zdołam?!
Czuję skurcz! Chwycił mnie skurcz!
Skonam niechybnie bez lekarstwa!*

Aktor, najwyraźniej powalony wyrokiem boskim, wyciągnął drżącą dłoń w kierunku publiczności. Bealknap spojrzał na niego ze zdziwieniem i pogardą, a Roger odwrócił wzrok. Wiedziałem dlaczego. Będę musiał z nim o tym pomówić.

Kiedy ostatnia scena dobiegła końca, aktorzy skłonili się publiczności, która nagrodziła ich gromkimi brawami. Trochę rozgrzały nam się zziębnięte członki, gdy ruszyliśmy na dziedziniec Gatehouse. Słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając czerwone dachówki domów i topiąc śnieg bursztynowym światłem. Ludzie szli ku bramie, a ci, którzy mieszkali na terenie Lincoln's Inn, udawali się do swoich kwater, szczelnie otuleni płaszczami. Czekałem w drzwiach na Elliardów, pozdrawiając znajomych skinieniem głowy. Na dziedzińcu znajdowała się tylko publiczność, była to bowiem sobota bez sesji sądowych, wigilia Niedzieli Palmowej. Spojrzałem na okna Elliardów. Przez oświetlone szyby widziałem służbę krzątającą się z półmiskami. Kolacje Dorothy były znane w całej korporacji. Choć Wielki Post jeszcze trwał i obowiązywał zakaz spożywania mięsiwa, wiedziałem, że przygotowuje obfity posiłek ku uciesze gości.

Pomimo chłodu czułem się rozluźniony i spokojny jak rzadko. Za tydzień przypadała niedziela wielkanocna oraz dwudziesty piąty marca – oficjalny początek nowego roku 1543. W ostatnich latach często rozmyślałem o tej porze o ponurych wydarzeniach, które spotkają nas w nadchodzącym roku. Kiedy jednak przypomniałem sobie, że mam interesującą, dobrze płatną pracę oraz szczerych przyjaciół, w moje serce wstąpiła nadzieja. Ubierając się rano, przyjrzałem się uważnie odbiciu mojej twarzy w metalowym zwierciadle w sypialni. Rzadko to robiłem, gdyż zgarbiony grzbiet nadal mnie przygnębiał. Dostrzegłem siwe włosy i głębsze zmarszczki na twarzy, choć uznałem, że nadają mi bardziej dostojny wygląd. Rok temu skończyłem czterdzieści lat, nie mogłem więc oczekiwać, że będę wyglądał młodo.

Po południu, przed rozpoczęciem przedstawienia, udałem się nad Tamizę, słyszałem bowiem, że po długiej i mroźnej zimie lód na rzece zaczął pękać. Stałem na stopniach Temple Stairs i spojrzałem na rzeczną toń. Ogromne kawały lodu napierały na siebie z głośnym chrzęstem i skrzypieniem, unoszone masami szarej wody. Wróciłem po miękkim topniejącym śniegu, myśląc o bliskim nadejściu wiosny.

Stojąc w drzwiach wielkiej sali, drżałem z zimna, mimo podszytego futrem płaszcza, bo choć powietrze wydawało się dziś zdecydowanie cieplejsze, nadal było chłodne, a ja nie odzyskałem jeszcze dawnej wagi po gorączce, która mnie zmogła osiemnaście miesięcy temu. Lekko podskoczyłem, gdy poczułem czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem szczupłą postać Rogera odzianą w ciężki płaszcz. Obok niego stała Dorothy, uśmiechając się do mnie. Jej pyzate policzki poczerwieniały z zimna. Upięła brązowe włosy pod okrągłym francuskim czepcem wyszywanym perłami.

– Widzę, żeś pogąrzył się w zadumie – powiedział Roger. – Rozmyślasz o wzniosłych uczuciach, które nam tu dziś pokazali?

– Wysokich jak ta sala i ciężkich niczym chabeta – dodała Dorothy.

– Racja – przyznałem. – Kto wybrał sztukę?

– Skarbnik. – Roger spojrzał na Rowlanda rozmawiającego ze starym sędzią i kiwającego z powagą głową. – Wybrał sztukę,

której nie można uznać za politycznie podejrzaną – dodał ciszej. – Postąpił roztropnie, choć znacznie lepsza byłaby włoska komedia.

Kiedy ruszyliśmy, zauważyłem, że śnieg, który pokrywał sadzawkę fontanny na dziedzińcu Gatehouse, niemal całkowicie stopniał, pozostawiając po sobie jedynie kawały szarego lodu. Może już niedługo fontanna ponownie ożyje, a na podwórku usłyszymy jak kiedyś delikatny szum wody. Przez lód dostrzegłem kilka monet. Choć woda zamarzła, ludzie nadal wrzucali tam drobne, mając nadzieję na wygrany proces lub szczęście w miłości, bo choć temu zaprzeczali, prawnicy byli równie przesądni jak inni ludzie.



W DRZWIACH POWITAŁ NAS stary sługa Rogera, Elias, który pracował w tym domu od lat. Zaprowadził mnie na górę, abym obmył dłonie. Gdy zszedłem do salonu, grube świece rzuciły ciepłe maślane światło na krzesła i poduszki. Kilkunastu gości, prawników z małżonkami, siedziało przy stole lub umościło się na poduszkach i raczyło winem podawanym przez Eliasa i chłopca kuchennego. Ogień buchający w kominku oświeślał pokój, wydobywając słodką woń z ziół rozrzuconych na drewnianej podłodze. Języki ognia lśniły w srebrnej zastawie ułożonej na przykrytym obrusem stole. Ściany były ozdobione portretami postaci biblijnych wykonanymi według najnowszej mody. Nad dużym kominkiem wisiała jedna z najznakomitszych ozdób w całym Lincoln's Inn, duma i radość Rogera. Był to rzeźbiony misternie duży fryz przedstawiający gałęzie spowite kwiatami i owocami, zza których wyglądały głowy zwierząt – jelenia, dzika, a nawet jednorożca. Roger stał obok kominka, rozmawiając z Ambrose'em Loderem z mojej kancelarii. Jego szczupła postać poruszała się żywo – gestykułował energicznie, jakby chciał coś wyjaśnić pulchnemu adwokatowi, na którego czerwonej twarzy malowało się powątpiewanie.

Dorothy w barwnym stroju kontrastującym z czarnymi togami obu prawników przystanęła obok nich, wyraźnie rozbawiona. Miała na sobie zieloną suknię z adamaszku ze złotymi wypustkami z przodu i wysokim kołnierzem rozpiętym pod szyją. Prezentowała się w niej wspaniale. Na mój widok przeprosiła obu panów i po-

deszła.

Znałem ją niemal dwadzieścia lat. Była córką prawnika sądowego z pierwszej kancelarii, w której pracowałem. Oboje mieliśmy wówczas dwadzieścia kilka lat. Byłem oczarowany wdziękiem, mądrością i serdecznością Dorothy. Chyba lubiła moje towarzystwo i nigdy nie zwracała uwagi na mój krzywy grzbiet, zostaliśmy więc dobrymi przyjaciółmi. Po pewnym czasie odważyłem się pomyśleć o przekształceniu naszej przyjaźni w coś głębszego. Nie zdradziłem jej jednak swoich uczuć, dlatego mogłem mieć pretensje wyłącznie do siebie, gdy usłyszałem, że Roger, mój współpracownik i przyjaciel, poprosił ją o rękę i został przyjęty. Wyznał później, a ja dałem mu wiarę, że nie zdawał sobie sprawy z uczuć, które żywiłem do Dorothy. Ona wszystkiego się domyśliła i próbowała mi osłodzić gorzką pigułkę, mówiąc, że miała trudny wybór. Jakoś nie mogłem w to uwierzyć, bo Roger był przystojnym i inteligentnym młodzieńcem, żywym i pełnym wdzięku.

Dorothy, tak jak ja, przekroczyła czterdziestkę, choć prócz kilku drobnych zmarszczek wokół oczu wyglądała na znacznie młodszą ode mnie. Pochyliłem się i ucałowałem jej pełne policzki.

- Życzę ci radosnej Niedzieli Palmowej, Dorothy.

- Ja tobie również, Matthew - odpowiedziała, ściskając moją dłoń. - Jak się miewasz?

- Nie narzekam. - Choć plecy często mi dokuczały, ostatnio pilnie wykonywałem ćwiczenia zalecone przez zaprzyjaźnionego medyka Guya, więc czułem się znacznie lepiej.

- Dobrze wyglądasz.

- A ty z każdym rokiem jesteś coraz młodsza. Życzę ci pomyślności i spokoju w nowym roku.

- Oby tak się stało. Słyszałeś o dziwnym znaku? O dwóch ogromnych rybach wyrzuconych na brzeg Tamizy? Dwóch szarych potworach wielkości połowy domu? Musiały utkwić pod lodem. - Błysk w jej oczach wyjawiał mi, co sądzi o tej historii, która, podobnie jak wiele innych opowieści krążących na tym świecie, wydawała się uroczym absurdem.

- Czy były żywe? - spytałem.

- Nie. Woda wyrzuciła je na brzeg w Greenwich. Setki ludzi

przechodziły Mostem Londyńskim, aby je zobaczyć. Podobno takie zdarzenie w dzień poprzedzający Niedzielę Palmową zapowiada straszne wydarzenia.

- Ostatnio ludzie ciągle znajdują jakieś złowróżbne znaki. To istna pasja pracowitych biblijnych londyńczyków.

- Racja. - Spojrzała na mnie badawczo, być może wyczuwając nutkę goryczy w moich słowach. Dwadzieścia lat temu Dorothy, Roger i ja byliśmy zwolennikami reform; liczyliśmy na stworzenie nowej chrześcijańskiej wspólnoty, która obejmie swoim zasięgiem cały świat. Dorothy i Roger pozostali nimi do dziś. Choć wielu ich gości było kiedyś zwolennikami reform, większość się wycofała i wiodła spokojny prawniczy żywot, przerażona i rozczarowana falami konfliktów religijnych i represji, które narastały z każdą dekadą od czasu zerwania króla z Rzymem. Byłem ciekaw, czy Dorothy wie, że tłą się we mnie marne resztki wiary.

- Ostatnie wieści były dla nas pomyślne - zmieniła temat. - Dzisiaj otrzymaliśmy list od Samuela. Trakty do Bristolu są przejezdne. - Uniosła czarne brwi. - Między wierszami wyczytałam, że ma dziewczynę.

Samuel był jedynym dzieckiem Rogera i Dorothy, ich oczkiem w głowie. Kilka lat temu cała rodzina przeniosła się do Bristolu, rodzinnego miasta Rogera, gdzie objął urząd sekretarza rady miejskiej. Rok temu Roger podjął ponownie praktykę w Lincoln's Inn, lecz osiemnastoletni Samuel został uczniem kupca tekstylnego i postanowił zostać w Bristolu. Wiedziałem, że jego rodzice boleją z tego powodu.

Uśmiechnąłem się delikatnie.

- Jesteś pewna, że nie są to twoje pobożne życzenia?

- Nie. Wspomniał nawet, jak ma na imię. Elizabeth. Jest córką kupca.

- Nie będzie mógł jej poślubić, dopóki nie ukończy nauki.

- To dobrze. Będą mieli dość czasu, by sprawdzić, czy do siebie pasują. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Może wysłę szpiega do Bristolu. Na przykład twojego pomocnika Baraka.

Roześmiałem się.

- Barak ma dość roboty w kancelarii, więc będziesz musiała

znaleźć kogoś innego.

- Lubię jego przenikliwe poczucie humoru. Jak mu się wie-
dzie?

- Rok temu stracili dziecko. Bardzo boleśnie to przeżył, cho-
ciaż tego nie okazywał.

- A co u niej?

- Nie widziałem Tamasin całe wieki. Od dawna noszę się z za-
miarem zaproszenia ich do siebie. Muszę to wreszcie zrobić. Tama-
sin troskliwie się mną opiekowała, gdy leżałem w gorączce.

- Widzę, że masz mnóstwo roboty w Sądzie Prób. Zawsze
wiedziałam, że zajdziesz wysoko.

- Jasne. - Uśmiechnąłem się. - To dobra posada. - Minął po-
nad rok od czasu, gdy arcybiskup Cranmer wyznaczył mnie na
jednego z dwóch prawników reprezentujących sprawy ubogich
przed Sądem Prób. Wraz z tą funkcją otrzymałem tytuł starszego
prawnika. - Nigdy nie sądziłem, że praca będzie mi sprawiać taką
przyjemność - dodałem. - Choć obciążenie sprawami jest ogrom-
ne, a niektórzy klienci... no cóż, bieda nie czyni ludzi dobrymi ani
łatwymi w obyciu.

- Nie powinna - odpowiedziała żarliwie. - Bieda to przekleń-
stwo.

- W każdym razie nie mam powodów do narzekania. Praca
nie jest monotonna. - Przerwałem na chwilę. - Ostatnio dostałem
sprawę chłopaka, którego zamknięto w Bedlam. Jutro mam się spo-
tkać z jego rodzicami.

- W Niedzielę Palmową?

- Sprawa jest pilna.

- Twój klient jest obłąkany?

- Nie o to chodzi. Umieszczono go tam na rozkaz Tajnej Rady.
To jedna z najdziwniejszych spraw, z jakimi miałem do czynienia.
Jest bardzo interesująca, choć wolałbym nie zadzierać z Tajną Radą.

- Wiem, że dopilnujesz, aby sprawiedliwości stało się zadość -
powiedziała, kładąc dłoń na moim ramieniu.

- Witaj, Matthew! - Obok nas stanął Roger i energicznie uści-
snął moją dłoń. Był krępy i niskiego wzrostu, o smukłej, choć ładnie
ukształtowanej twarzy, przenikliwych niebieskich oczach i czar-

nych włosach, które zaczęły się już przerzedzać. Choć wiele lat temu odbił mi Dorothy, nadal darzyłem go wielką przyjaźnią.

- Słyszałem, że dostaliście list od Samuela - zagadnąłem.

- Tak, urwis w końcu napisał!

- Muszę iść do kuchni - przerwała mu Dorothy. - Zobaczmy się wkrótce, Matthew. Pomów z Rogerem, ma interesujący pomysł.

Skloniłem się i spojrzałem na jej męża.

- Jak się miewasz? - spytałem cicho.

- Nie miałem kolejnego ataku - odparł przyciszonym głosem.

- Mimo to chciałbym odwiedzić twojego przyjaciela medyka.

- Widziałem, że odwróciłeś głowę podczas przedstawienia, gdy Pożądanie dotknął skurcz.

- Ta scena mnie przeraziła.

Nagle wydał mi się bezbronny jak mały chłopiec. Ucisnąłem jego ramię.

Ostatnio Roger kilka razy stracił równowagę i upadł bez żadnego wyraźnego powodu. Obawiał się, że zachorował na padaczkę - straszną chorobę powodującą, że skądinąd całkiem zdrowy człowiek co jakiś czas przewraca się na ziemię i odchodzi od zmysłów, wijąc się i jęcząc. Choroba ta była nieuleczalna, przy czym jedni uważali ją za rodzaj powracającego obłądki, a drudzy za dowód opętania przez demona. Ponieważ drastyczne objawy mogły wystąpić w każdej chwili, ludzie unikali osób, które cierpiały na tę przypadłość, więc oznaczałoby to kres jego prawniczej kariery.

Ująłem go za ramię i powiedziałem:

- Guy postawi prawidłową diagnozę, obiecuję. - Podczas lunchu, który zjedliśmy razem przed tygodniem, Roger zwierzył mi się ze swoich kłopotów, a ja zadbałem, by jak najszybciej, w ciągu czterech dni, spotkał się z moim przyjacielem medykiem.

Roger uśmiechnął się krzywo.

- Miejmy nadzieję, że powie mi coś, co chcę usłyszeć. - Zniżył głos. - Wyjaśniłem Dorothy, że mam bóle brzucha. Myślę, że tak będzie lepiej. Kobiety za bardzo się martwią.

- Podobnie jak my, Roger - odrzekłem z uśmiechem. - Czasami martwimy się bez przyczyny. Można tracić równowagę z wielu powodów. Nie miałeś przecież kolejnych ataków, prawda?

- No tak.
- Dorothy wspomniała, że myślisz o pewnym przedsięwzięciu - zmieniłem temat.
- Tak. - Uśmiechnął się gorzko. - Powiedziałem o tym Lodero-wi, lecz nie wydaje się zainteresowany. - Spojrzał na gości. - Nikt z nas nie jest ubogi - zauważył cicho.
- Ujął mnie pod ramię i zaprowadził na stronę.
- Czytam książkę Rodericka Morsa *Lamentation of Christian against the City of London**.
- Powinieneś uważać. Niektórzy uważają ją za wywrotową.
- Prawda ich przeraża. - Głos Rogera był cichy, lecz pełen napięcia. - Na Boga, książka Morsa to potępienie Londynu. Ukazuje, w jaki sposób majątek klasztorów przeszedł na własność króla i jego dworzan. Klasztorne szkoły i szpitale zostały zamknięte, więc chorzy muszą sami dbać o siebie. Opieka zakonników była marna, lecz obecnie ci biedacy nie mają nikogo. Wszystkich nas zawstydzają rzesze chorych ludzi konających na ulicach. Wczoraj widziałem chłopca w drzwiach Cheapside. Jego bosa stopa była w połowie obumarła z powodu odmrożenia. Dałem mu sześć pensów, choć naprawdę potrzebował szpitala.
- Sam wspomniałeś, że większość szpitali zamknięto.
- Właśnie dlatego zabiegam o stworzenie szpitala finansowanego przez londyńskie korporacje prawnicze. Najpierw trzeba będzie zebrać wkład początkowy, a następnie stworzyć fundusz operacyjny z zapisów i datków od prawników.
- Rozmawiałeś o tym ze skarbnikiem?
- Jeszcze nie. - Roger uśmiechnął się ponownie. - Doskona-
 le swoje argumenty na kolegach. - Wskazał głową pulchną postać Lodera. - Ambrose powiedział, że biedni znieważają przechod-
 niów swoją przykrą wonią i wyziewami. Że mógłby zapłacić, aby
 oczyścić z nich ulice. Inni skarżyli się na natrętnych żebraków pro-
 szących o datek na każdym rogu. Obiecałem im, że w ten sposób
 uwolnimy miasto od zgiełku. Moje argumenty przekonają tych,
 którym braku- je miłości bliźniego. - Spojrzał na mnie poważnie.

*Skarga chrześcijanina na miasto Londyn.

- Pomożesz?

Zastanowiłem się chwilę.

- Nawet jeśli ci się uda, cóż zdziała jeden szpital w obliczu morza niedoli, które nas otacza? - spytałem w końcu.

- Przyniesie ulgę kilku nieszczęśnikom.

- Pomogę, jeśli zdołam. - Jeżeli ktoś mógł zrealizować takie przedsięwzięcie, to tylko Roger. Pomyślałem, że wiele będzie zależało od jego energii i błyskotliwej inteligencji. - Ofiaruję datek na twój szpital. Jeśli chcesz, pomogę ci też w zbieraniu darowizn.

Uścisnął moje ramię.

- Wiedziałem, że mi pomożesz. Wkrótce zorganizuję komitet...

- Kolejny? - spytała Dorothy, która wróciła z kuchni z poczerwieniałą od ciepła twarzą. Spojrzała pytająco na męża.

Roger położył rękę na jej talii.

- Chodzi o szpital, kochanie.

- Trudno ci będzie przekonać ludzi. Sakiewki im schudły od królewskich podatków.

- W przyszłości mogą schudnąć jeszcze bardziej - dodałem. - Słyszałem, że nowy parlament ma przyznać królowi więcej środków, aby mógł rozpocząć wojnę z Francją.

- Cóż za marnotrawstwo - rzucił gorzko Roger. - Pomyślcie tylko, jak można by wykorzystać te pieniądze. No, ale król zapewne uważa, że okoliczności sprzyjają takiemu przedsięwzięciu. Król Szkocji zmarł, a na tronie zasiada mała dziewczynka, więc nie będą mogli stanąć po stronie Francji.

Skinąłem głową.

- Król odesłał do domu szkockich możnowładców wziętych do niewoli pod Solway Moss. Podobno przysięgli, że doprowadzą do małżeństwa księcia Edwarda z małą Marią.

- Jak zwykle jesteś dobrze poinformowany, Matthew - powiedziała Dorothy. - Czy Barak powtórzył ci plotki, które usłyszał od swoich przyjaciół na dworze?

- Tak.

- Podobno król ogląda się za nową żoną.

- Mówią o tym od czasu stracenia Katarzyny Howard - za-

uważył Roger. – O kogo chodzi tym razem?

– O lady Latimer – odparła Dorothy. – Jej mąż zmarł przed tygodniem. Pojutrze będzie wielki pogrzeb. Podobno król od jakiegoś czasu miał na nią chrapkę i teraz nią się zajmie.

Nie słyszałem tych pogłosek.

– Biedna kobieta – powiedziałem. – Powinna się lękać o swoją głowę – dodałem szeptem.

– Tak. – Dorothy chwilę milczała, a potem klasnęła i donośnym głosem oznajmiła: – Kolacja gotowa, przyjaciele!

Goście ruszyli do jadalni. Długi stary dębowy stół był zastawiony srebrnymi półmiskami, na które służący wykładali jedzenie pod czujnym okiem Eliasa. Głównym daniem były cztery duże kurczaki. Choć nadal trwał Wielki Post i prawo zezwalało na spożywanie jedynie ryb, ostra zima i skute lodem rzeki sprawiły, że ich ceny sięgnęły astronomicznej wysokości, toteż król zezwolił ludowi na jedzenie białego mięsa.

Zajęliśmy miejsca. Usadzono mnie pomiędzy Loderem, z którym Roger rozmawiał przed chwilą, i Jamesem Ryprose'em, leciwym prawnikiem o szczeciniastych bokobrodach okalających twarz pomarszczoną niczym zeschnięte stare jabłko.

Po przeciwnej stronie siedzieli Dorothy, Roger i pani Loder, która była równie pulchna i zadowolona z siebie jak jej mąż. Posłała mi uśmiech, odsłaniając pełny rząd białych zębów, a następnie ku mojemu zaskoczeniu sięgnęła do ust i wyciągnęła obie szczęki. Za-uważyłem, że zęby zostały przymocowane do drewnianej protezy wyciętej w taki sposób, aby było miejsce na kilka szarych kikutów, które jej pozostały z dawnego uzębienia.

– Pięknie wyglądają, prawda? – spytała, widząc moje spojrzenie. – Zrobił mi je cyrulik z Cheapside. Oczywiście nie mogę w nich jadać.

– Schowaj je, Johanno – zachnął się mąż. – Ludzie nie chcą na nie patrzeć podczas posiłku.

Johanna wyduła usta tak, jak to potrafi jedynie bezzębna kobieta, ukryła protezę w małym pudełeczku i wsunęła między poły sukni.

Z trudem opanowałem mdłości. Uważałem za odrażający ten

francuski zwyczaj, przejęty przez niektórych członków wyższych warstw, polegający na noszeniu protezy wykonanej z zębów umarłych.

Roger zaczął ponownie rozprawiać o szpitalu, tym razem kierując swoje argumenty do starego Ryprose'a.

- Pomyśl o chorych i bezradnych, którzy zostaną usunięci z ulic, bo być może uda się im pomóc.

- Tak, to byłoby warte zachodu - zgodził się starzec. - A co się stanie ze zdrowymi, silnymi żebrakami, którzy plenią się na ulicach jak zaraza, nagabują o pieniądze, a czasem grożą? Co zrobić z nimi? Jestem starym człowiekiem, więc czasami boję się wychodzić samotnie z domu.

- To prawda. - Loder skinął głową. - Ci dwaj, którzy w listopadzie obrabowali i zabili w bramie nieszczęsnego kolegę Goodcole'a, byli bezpańskimi sługami z rozwiązanego klasztoru. Nigdy nie zostaliby ujęci, gdyby nie przechwalali się po karczmach, na co wydali pieniądze biednego Goodcole'a, i gdyby uczciwy karczmarz nie wezwał konstabla.

- Tak, tak - rzucił Ryprose. - Nie dziwota, że służba pozbawiona panów bezkarnie żebrze i rabuje, skoro miasto zatrudnia garstkę strażników niemal tak starych jak ja.

- Rada miasta powinna nająć silnych mężczyzn, aby wygnali nicponiów z Londynu - zawyrokował Loder.

- Czemu jesteś taki surowy, Ambrose? - spytała cicho jego żona. - Gdy byłeś młodszy, przekonywałeś, że bezrobotni biedacy mają prawo do zatrudnienia, że miasto powinno im płacić za wykonywanie użytecznych prac, takich jak brukowanie ulic. Cytowałeś Erazma z Rotterdamu i Juana Vivesa. Rozprawiałeś o obowiązkach chrześcijańskiej wspólnoty wobec biednych. - Uśmiechnęła się słodko, rewanżując się za uwagę na temat jej zębów.

- To prawda, Ambrose - przyznał Roger. - Doskonale to pamiętam.

- Ja również - dodała Dorothy. - Najgwałtowniej występowałeś w sprawie obowiązków króla wobec biedoty.

- Skoro nasz król nie jest tym zainteresowany, nie wiem, co moglibyśmy zrobić - odparł gniewnie Loder, spoglądając na żonę.

– Mamy zaprosić dziesięć tysięcy parszywych żebraków i nakarmić ich przy głównym stole?

– Nie – odrzekł delikatnie Roger. – Możemy jednak wykorzystać naszą pozycję i zamożność, aby pomóc kilku z nich. Dopóki nie nastaną lepsze czasy.

– Nie tylko żebracy wałęsają się po ulicach w oplakanym stanie – zauważył ponuro stary Ryprose. – Hałaśliwi głosiciele Biblii pojawiają się na każdym kroku. Przy Newgate Street stoi jeden taki. Tkwi tam całutki dzień, grząc o nadchodzącej apokalipsie.

Siedzący przy stole wydali pomruk aprobaty. Po upadku Thomasa Cromwella król przestał wspierać reformatorów, którzy zachęcili go do zerwania z Rzymem. Henryk nigdy w pełni nie przyjął nauki Lutra, a teraz stopniowo powracał do dawnej religii, do katolicyzmu bez papieża, stosując coraz radykalniejsze środki wobec tych, którzy się z nim nie zgadzali. Zaprzeczanie, że eucharystyczny chleb i wino zamieniają się w prawdziwe ciało i krew Jezusa Chrystusa, stało się herezją zagrożoną karą śmierci. Do łask powróciła nawet nauka o czyścisku. Wszystko to gorszyło radykałów religijnych, dla których jedynym źródłem prawdy pozostała Biblia. Prześladowania skłoniły wielu reformatorów do przyjęcia bardziej radykalnego stanowiska, a ci mieszkający w Londynie byli szczególnie śmiali i gadatliwi.

– Wiecie, co wczoraj widziałem? – spytał inny z gości. – Przed jednym z kościołów ludzie układali gałązki na śniegu, na jutrzejszą Niedzielę Palmową, gdy nadeszła wataha uczniów. Rozrzucili palmy butami, wykrzykując, że to papieskie święto, a papież jest antychrystem!

– Fanatyzm religijny dostarcza im kolejnej wymówki do dzikich ekscesów – stwierdził posępnie Loder.

– Jutro może dojść do zamieszek – przestrzegł zebranych Roger.

Skinąłem głowę. W Niedzielę Palmową tradycyjne kościoły będą odprowadzały nabożeństwo jak dawniej. Kościelni przebiorą się za proroków, a dziecko będzie jechało na osiołku. W tym samym czasie radykalni kaznodzieje będą grzmieli w swoich zborach, nazywając to papieskim bluźnierstwem.

- Szykują się kolejne czystki – zauważył ktoś ponuro. – Słyszałem, że biskup Bonner ma się surowo rozprawić z głosicielami Biblii.

- Stosy już nigdy nie zapłoną – powiedziała cicho Dorothy.

- Miasto na to nie pozwoli – dodał Loder. – Ludzie nie lubią radykałów, lecz jeszcze bardziej nienawidzą płonących stosów. Bonner nie będzie mógł posunąć się tak daleko.

- Czyżby? – spytał cicho Roger. – Przecież Bonner jest fanatykiem, tyle że reprezentuje drugą stronę. Czy całe miasto nie jest podzielone?

- Większość obywateli pragnie spokoju – zauważyłem. – Nawet ci z nas, którzy kiedyś byli radykałami. – Uśmiechnąłem się do Rogera, a ten skinął głową na znak, że się zgadza.

- Fanatycy są po obydwu stronach – rzekł posępnie stary Ryprose. – A my jesteśmy prostymi ludźmi, którzy utknęli między nimi. Czasami się lękam, że sprowadzą na nas śmierć.



GOŚCIE WYSZLI PÓŹNO, ALE JA BYŁEM WŚRÓD tych, którzy dotrwali do samego końca. Kiedy znalazłem się na dworze, była zimna noc, a pod butami chrzęściła zmrożona breja. Po rozmowie przy stole mój nastrój nie był już tak pogodny jak na początku. To prawda, że pełen żebraków i fanatyków Londyn nie był miastem szczęśliwym. Czystki jedynie pogorszyłyby sprawę. Było też coś, o czym nie wspomniałem pozostałym – rodzice chłopaka umieszczonego w Bedlam byli członkami radykalnej protestanckiej wspólnoty, a problemy psychiczne ich syna miały związek z religią. Wolałbym nie brać jego sprawy, lecz musiałem się zajmować wszystkimi prośbami, które mi przydzielono. Rodzice chcieli, by ich syn został uwolniony.

Przystanąłem. Za plecami usłyszałem cichy chrzęst śniegu. Odwróciłem się, gniewnie marszcząc czoło. Zabudowania Lincoln's Inn wydawały się bezpieczne, choć każdy mógł tu wejść niepostrzeżenie. Noc była ciemna, księżyc w połowie przysłoniły obłoki. O tak późnej porze jedynie kilka okien oświeślało śnieg jasnymi kwadratami.

- Kto tu jest?! - zawołałem.

Nie usłyszałem odpowiedzi, lecz do moich uszu doleciał chrzęst śniegu, jakby ktoś zaczął się szybko oddalać. Zmarszczyłem brwi i ruszyłem za nim. Dźwięk kroków dochodził z przeciwnego końca budynku, gdzie mieszkali Elliardowie. Ich dom stykał się z tylnym murem Lincoln's Inn. Położyłem dłoń na rękojeści sztyletu, skręcając za róg budynku. Przede mną był zewnętrzny mur. Intruz znalazł się w pułapce. Niewielki kwadratowy placyk pomiędzy budynkami i liczącym dwanaście stóp wysokości tylnym murem oświetlały okna mieszkania Elliardów. Wydawał się pusty. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

Wtedy zauważyłem, że śnieg na murze został strząśnięty. Ktoś musiał się na niego wspiać. Stałem, patrząc przed siebie. Trzeba było niezwykłej siły i zwinności, aby go przesadzić. Nie wiem, czy w ogóle uznałbym to za możliwe, gdyby nie puste podwórko i wzruszony śnieg. Zmarszczyłem czoło i odwróciłem się. Pomyślałem, że każę strażnikowi wysypać wierzchołek muru kawałkami szkła.

Rozdział drugi

Następnego ranka skoro świt wyruszyłem do kancelarii, ponieważ rodzice chłopaka osadzonego w Bedlam mieli przybyć o dziewiątej. Informacje, które otrzymałem z Sądu Prób, były bardzo skąpe, choć wystarczyły, abym zaczął się niepokoić. Chłopaka kazano umieścić w szpitalu Tajna Rada z powodu *bluźnienia prawdziwej religii w obłąkańczym szale*, jak to ujęto w postanowieniu, mimo braku wyroku Sądu Biskupiego. Sprawa miała charakter polityczny, była zatem niebezpieczna. Przypomniałem sobie ponownie, że mój udział ograniczy się do kwestii czysto prawnych, i przeklinałem los, który zesłał mi owego chłopaka, zamiast skierować jego sprawę do kolegi.

Z dokumentów wynikało, że Adam Kite był synem mistrza kamieniarskiego i ministrantem w kościele Świętego Marcina przy Creek Lane. Barak, którego wysłałem na przesłuchanie, doniósł mi, że tamtejszy wikary jest „wielkim podżegaczem i grzmiącym kaznodzieją”.

Nie była to dobra wiadomość. Na podstawie moich dotychczasowych doświadczeń z ludźmi pobożnymi wiedziałem, że kiepsko sobie radzę z prostakimi, twardogłowymi fanatykami cytującymi biblijne wersety w taki sposób, jakby cieśla wbijał ćwieki.

Poślizgnąłem się na lodowej brei i omal nie upadłem, co wytrąciło mnie z przykrej zadumy. Usłyszałem śmiech.

W całym mieście były dzwony, wzywając na nabożeństwo Niedzieli Palmowej. W tamtym czasie chodziłem do kościoła jedy-

nie wówczas, gdy to było konieczne. W przyszłą niedzielę jak co roku przystąpię do spowiedzi. Nie czekałem na tę chwilę z utęsknieniem. Kapryśna pogoda ponownie obdarzyła nas cieplejszym dniem, więc Chancery Lane tonęła w błocie niczym chłopskie podwórko. Przystanąłem w bramie Lincoln's Inn, zastanawiając się, czy skarbnik zrobi cokolwiek, aby zabezpieczyć mur. Kazałem odźwiernemu poinformować go o mojej wczorajszej przygodzie.

Nagle poczułem coś wilgotnego na twarzy. Gdy na policzek spadła kolejna kropla, zrozumiałem, że pada. Po dwóch miesiącach śniegu nadszedł pierwszy deszcz. Gdy dotarłem do kancelarii, lało jak z cebra, a mój kapelusz nasiąkł wodą. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że Barak już czeka w zewnętrznej izbie. Rozpalił ogień, usiadł przy wielkim stole i porządkował papiery na jutrzejszą sesję sądu. Wokół leżały pozwы, pisemne oświadczenia i zeznania. Jego przystojna, szelmowska twarz sprawiała wrażenie zmęczonej, a oczy nabiegły krwią. Zauważyłem, że policzki Baraka pokrywa kilkudniowy zarost.

- Powinieneś się ogolić, w przeciwnym razie przewodniczący wyrzuci cię z sali za obrazę sądu. - Chociaż zwróciłem się do niego surowo, łączyła nas przyjaźń. Poznaliśmy się, wykonując niebezpieczną misję dla jego nieżyjącego już pana, królewskiego ministra Thomasa Cromwella. Po straceniu Cromwella trzy lata temu Barak zaczął pracować dla mnie. Był bardzo skutecznym, choć nietypowym pomocnikiem.

- Zgoda - odrzekł gburowato. - Niebawem przybędą rodzice tego obłąkanego wesołka.

- Nie nazywaj go tak - powiedziałem, przeglądając dokumenty, które przygotował. Wszystko było w należytym porządku. Barak naniósł uwagi zamasytym charakterem pisma. - Przyszedłeś do kancelarii w niedzielę? - spytałem. - Przecież byłeś wczoraj. Zaniedbujesz biedną Tamasin.

- Nic jej nie będzie. - Barak wstał i zaczął składać książki oraz papiery. Spojrzałem na jego szerokie bary, ciekaw, co zaszło między nimi, skoro przyszedł dziś do pracy i sądząc po wyglądzie, nie spał całą noc. Tamasin była piękną dziewczyną, równie energiczną jak on. Przeżyli szczęśliwie cały rok, choć musieli przyspieszyć

ślub z powodu ciąży. Po śmierci ich synka, który zmarł podczas porodu, Barak zachowywał się w sposób równie zuchwały i wesoły jak dawniej, choć w jego żartach pojawiło się coś sztucznego, a spojrzenie czasami przepełniał ból. Wiedziałem, że utrata dziecka zbliża do siebie niektórych małżonków, a innych oddala.

– Widziałeś rodziców Adama Kite’a, gdy przyszli się umówić na spotkanie? – zagailem. – Kite’a i jego żonę? Co to za ludzie?

Odwrócił się w moją stronę.

– Rzemieślnicy. Kite jest kamieniarzem. Zaczął prawić o łasce bożej, która pozwoliła im przekazać sprawę syna do Sądu Prośb, i o tym, że Bóg nie opuszcza tych, którzy są mu wierni. – Barak zmarszczył nos. – Po mojemu wyglądają na zapracowanych wierzących, którzy trzymają się Biblii, choć podczas gdy ludzie pobożni, których znam, sprawiają wrażenie zadufanych w sobie, ci wyglądali jak para spłoszonych kotów.

– Nic dziwnego po tym, co ich spotkało.

– Wiem. – Barak zawahał się. – Czy będziesz musiał go odwieźć? Udać się do Bedlam, gdzie szaleńcy rozdierają szaty i pobrzękują łańcuchami?

– Pewnie tak. – Spojrzałem na dokumenty. – Chłopak ma siedemnaście lat. Postawiono go przed sądem trzeciego marca za szalone, niestosowne zachowanie pod krzyżem na dziedzińcu katedry Świętego Pawła. Podobno głośno pomstował, *wydając dziwne jęki i krzyki*. Odesłano go do Bedlam w nadziei, że zostanie wyleczony. Żadnych dodatkowych zaleceń. Jego stan zdrowia nie został zbzdany przez lekarza lub sąd. To niewłaściwe.

Barak spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Miał szczęście, że nie uznali go za heretyka. Pamiętasz, co spotkało Richarda Mekinsa i Johna Collinsa.

– Rada jest teraz bardziej rozważna.

Mekins był piętnastoletnim terminatorem, który osiemnaście miesięcy temu spłonął na stosie w Smithfield za zaprzeczanie obecności Jezusa w eucharystii. John Collins natomiast strzelił z łuku do rzeźby Chrystusa we wnętrzu kościoła. Wielu uważało, że jest obłąkany, lecz rok wcześniej król wydał ustawę zezwalającą na wymierzanie kary śmierci ludziom niespełna rozumu. Collins zginął

na stosie podobnie jak Mekins. Okrucieństwo tych kar zwróciło lud przeciwko biskupowi Bonnerowi, który sprawował w mieście surową władzę kościelną. Od tego czasu nie zapłonął żaden stos.

- Podobno Bonner rozpoczął nowe polowanie na radykałów religijnych - powiedział Barak.

- Coś takiego usłyszałem wczoraj przy kolacji. Jak myślisz, do czego to wszystko zmierza? - Barak nadal miał przyjaciół, którzy pracowali potajemnie dla królewskiego dworu, odwiedzając karczmy i piwiarnie, aby donosić władzy o nastrojach wśród ludu. Miałem wrażeniem że ostatnio spędzał wiele czasu, pijąc w towarzystwie podejrzanych kompanów.

Spojrzał na mnie poważnie.

- Krążą plotki, że teraz, gdy Szkocja przestała nam zagrażać, król chce zawrzeć sojusz z Hiszpanią i wyruszyć na wojnę z Francją. Żeby przypodobać się cesarzowi Karolowi, musi być surowy dla heretyków. Ludzie mówią, że zamierza przeprowadzić przez parlament ustawę zakazującą pospólstwu czytania Biblii oraz dać biskupowi Bonnerowi wolną rękę, aby pozbył się z Londynu kaznodziejów. Huczy o tym w całym Whitehall. Byłbym ostrożny w tej sprawie.

- Rozumiem, dzięki za radę. - Sytuacja polityczna czyniła sprawę Adama Kite'a jeszcze delikatniejszą. Zdobyłem się na uśmiech. - Wczoraj wieczorem ludzie plotkowali o tym, że król szuka nowej żony. Że zabiega o względy lady Latimer.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że tak jest, choć tym razem napotkał problemy. Dama nie chce jego względów.

- Odrzuciła go? - spytałem zdumiony.

- Tak mówią. Trudno ją winić. Król ma wrzody na nogach, więc co drugi dzień wożą go po Whitehall na wózku. Podobno z każdym miesiącem staje się bardziej otyły i ma coraz gorsze napady gniewu. Ponoć lady Latimer ma na oku innego kandydata.

- Kogo?

- O tym się nie wspomina. - Zawahał się. - Może byłoby lepiej, żeby ten twój obłąkaniec, Adam Kite, pozostał w Bedlam. Ty również nie powinienesz zadzierać ponownie z Tajną Radą.

Westchnąłem ciężko.

- Występuję jedynie jako prawnik.

- Jeśli w sprawę zaangażują się moi, nie ukryjesz się za przepisami. Sam wiesz. - Podobnie jak ja lękał się, że stanę przed dawnymi potężnymi wrogami. Książę Norfolk i Richard Rich byli przecież członkami Tajnej Rady.

- To pech, że przekazali jego sprawę mnie zamiast Herriottowi - powiedziałem. - No, ale skoro tak się stało, muszę się nią zająć z całą starannością. Przejrzę dokumenty na jutrzejszą sesję. Przyślij do mnie Kite'ów, kiedy się zjawia.

Udałem się do gabinetu i zamknąłem drzwi. Zaniepokoiły mnie słowa Baraka. Podszedłem do okna z małymi szybkami. Deszcz nasilił się jeszcze bardziej. Krople bębniły o szyby, rozmazując obraz dziedzińca Gatehouse. Zadrżałem, dźwięk ulewy przypominał mi bowiem tę straszną noc osiemnaście miesięcy temu, gdy pierwszy i jedyny raz zabiłem człowieka. Gdybym tego nie zrobił, z pewnością pozbawiłby mnie życia, jednak do dziś prześladowało mnie upiorne charczenie tonącego. Westchnąłem głęboko, z żalem wspominając radosny nastrój, w którym się znajdowałem wczoraj wieczorem. Czyżby krótka chwila szczęścia skusiła zły los?

Pomyślałem o Bedlam. Miejsce to budziło lęk i odrazę mieszkańców Londynu. Przez długi czas szpital Bedlam był jedynym zakładem psychiatrycznym w mieście. Choć obłąkani zebrali na wszystkich londyńskich ulicach, a wielu ludzi miało przyjaciół lub krewnych dotkniętych jakąś chorobą umysłu, unikali szaleńców jak zarazy. Ludzi chorych psychicznie uważano za niebezpiecznych, a nawet opętanych, przypominali też, iż nagły obłąd może dotknąć każdego, przyjmując wiele strasznych postaci. Właśnie dlatego Roger tak się lękał choroby, albowiem jej napady były przerażające. Wiedziałem, że w Bedlam trzymano jedynie najpoważniej chorych. Niektórzy pochodzili z bogatych domów, inni byli zdani na ludzkie miłosierdzie. Czasami wtrącano tam ludzi niewygodnych władzy, takich jak Adam Kite, żeby usunąć ich z drogi.

Usłyszałem pukanie i Barak wprowadził do izby parę w średnim wieku. Z zakłopotaniem spostrzegłem, że towarzyszy im trzecia osoba: wysoki i szczupły mężczyzna w sutannie. Miał krzaczaste brwi, szpakowate włosy i czerwoną twarz choleryka. Mąż i

żona byli ubrani w czarne szaty. Oboje sprawiali wrażenie głęboko przygnębionych. Kobieta wydawała się bliska płaczu. Była niska i szczupła, krucha niczym ptaszyna. Jej mąż był wysokim i postawnym człowiekiem o twarzy porwanej bruzdami. Skłonił się, a jego żona dygnęła głęboko. Duchowny zmierzył mnie zuchwałym, tak-sującym spojrzeniem. Nie przejął się widać powagą Lincoln's Inn ani widokiem togi i gabinetu pełnego ksiąg prawniczych.

- Jestem prawnikiem z Sądu Prośb, nazywam się Shardlake. Pan i pani Kite, jak miernam? - Uśmiechnąłem się nerwowo, by poczuł się bardziej swobodnie, i skupiłem na nich całą uwagę. Z długiego doświadczenia wiedziałem, że gdy klienci przychodzą na spotkanie w towarzystwie trzeciej osoby, ta jest zwykle najbardziej agresywna. Odgadłem, że duchowny jest ich wikarym i że może stwarzać problemy.

- Daniel Kite, do usług - odparł mężczyzna, składając głęboki ukłon. - A to moja żona, Minnie. - Dygnęła ponownie, uśmiechając się niepewnie. - Jestem rad, że zgodził się pan nas przyjąć w niedzielę.

- W Niedzielę Palmową - zauważył z niesmakiem duchowny. - Nie będziemy musieli przynajmniej oglądać papieskich uroczystości - zauważył, spoglądając na mnie wyzywająco. - Jestem Samuel Meaphon. Ta prześladowana rodzina należy do mojej trzódki.

- Spocznijcie, proszę - rzekłem. Usiedli obok siebie na ławie. Meaphon zajął miejsce pośrodku, a Minnie wygładziła nerwowo fałdy sukni. - Zapoznałem się z dokumentami przesłanymi z Sądu Prośb - oзнакомиłem - lecz ukazują one sprawę w bardzo oględny sposób. Chciałbym, żebyście opowiedzieli, co spotkało waszego syna. Od początku.

Daniel Kite spojrzał nerwowo na Meaphona.

- Wolałbym usłyszeć tę historię od pana i pana żony - dodałem szybko. - Nie oznacza to, że nie szanuję wielbego, lecz wolę relację z pierwszej ręki.

Meaphon nieznacznie zmarszczył brwi, skinieniem głowy informując mistrza Kite'a, że może rozpocząć opowieść.

- Adam był dobrym chłopcem, lecz sześć miesięcy temu coś się z nim stało - zaczął ojciec młodzieńca ponurym głosem. - Był

żywym, silnym chłopcem, naszym błogosławieństwem od Pana, nie mamy bowiem innych dzieci. Terminował w moim warsztacie niedaleko Billingsgate.

- Jesteś pan kamieniarzem?

- Mistrzem kamieniarskim, panie. - Mimo smutku wyczułem nutkę dumy w jego głosie. Spojrzałem na dłonie Daniela Kite'a: były ogromne, pokryte odciskami i mnóstwem drobnych blizn. - Miałem nadzieję, że Adam przejmie po mnie interes. Był pracowity i pilnie uczył się do kościoła.

- To prawda - potwierdził z naciskiem wielbny Meaphon.

- Wierzymy w Biblię, panie - zwierzył się Kite.

- Niezależnie od tego, jak nas traktuje grzeszny świat - dodał Meaphon, spoglądając na mnie gniewnie spod krzaczastych brwi.

- Zachowam w sekrecie wszystko, co mi powiecie o waszej religii - rzekłem.

- Widzę, że nie jesteś naszej wiary, panie. - W głosie Daniela Kite'a wyczułem raczej żal niż gniew.

- Nie spotkalismy się, aby o tym rozprawiać - odparłem, siląc się na uśmiech.

Meaphon spojrzał na mnie przenikliwie.

- Widzę, że Bóg uznał za słuszne dotknąć cię, panie. Uczynił to jednak po to, abyś mógł się do Niego zwrócić po ratunek.

Poczułem gniew, że nieznajomy odważył się wspomnieć o moim krzywym grzbiecie. Minnie Kite wtrąciła się pospiesznie:

- Chcemy jedynie, abyś pomógł pan naszemu biednemu chłopcu, powiedział nam, czy prawo może coś zdziałać.

- Skoro tak, opowiedzcie mi, co się stało. Od początku. W jasny i prosty sposób.

Minnie struchlała, słysząc ostrą nutę w moim głosie. Daniel Kite zawahał się i podjął opowieść:

- Jak mówiłem, Adam był dobrym chłopcem, lecz sześć miesięcy temu stał się dziwnie cichy, zamknięty w sobie, jakiś ponury. Martwiliśmy się o niego. Kiedy pewnego dnia zostawiłem go w warsztacie, po powrocie klęczał w kącie. Modlił się, błagając Boga, aby przebaczył mu grzechy. „Adamie, Bóg ustanowił czas na modlitwę i czas na pracę”, zwróciłem się do niego. Wówczas mnie po-

słuchał, choć podniósł się z wielkim westchnieniem, jakiego wcześniej nie słyszałem.

- Od tego czasu słyszeliśmy je często - dodała Minnie.

- A był to zaledwie początek. Zawsze zachęcaliśmy Adama do modlitwy, lecz od tego czasu modlił się... nieustannie. - Głos Kite'a się załamał. Wyczułem, że drzemie w nim lęk. - Potrafił paść na kolana i zanosić modły o dowolnej porze dnia, w warsztacie lub przy stole. Błagał Boga jak oszalały, aby przebaczył mu grzechy i oznajmił, że jest zbawiony. Doszło do tego, że przestał jeść. Leżał skulony w kącie i musieliśmy go podnosić. Bronił się, był ciężki jak kamień. Kiedy go stawialiśmy, wydawał głębokie westchnienia.

- Westchnienia rozpaczy - wtrąciła cicho Minnie. Schyliła głowę, lecz dostrzegłem łzy w jej oczach. - Sądzi, że jest potępiony, panie.

Popatrzyłem na całą trójkę. Radykałowie religijni wierzyli wraz z Lutrem, że Bóg podzielił ludzi na zbawionych i potępionych i że jedynie ci, którzy przychodzą do niego poprzez Biblię, zostaną wybawieni w dzień Sądu Ostatecznego. Pozostałych czekało wieczne potępienie w piekle. Wierzyli też w dzień Sądu oraz bliski koniec świata przepowiedziany w Księdze Objawienia. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Byłem niemal wdzięczny, gdy Meaphon przerwał milczenie.

- Ci dobrzy ludzie przyprowadzili do mnie syna - oznajmił. - Rozmawiałem z Adamem, próbując go zachęcić. Powiedziałem, że Bóg zsyła czasem zwątpienie na tych, których najbardziej miłuje, aby poddać ich próbie. Zostałem przy nim dwa dni, modląc się i poszcząc, lecz nie zdołałem do niego dotrzeć. - Pokręcił głową. - Opierał się z całej mocy.

Minnie podniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej twarz była smutna i pozbawiona wyrazu.

- Wychudł tak, że została z niego tylko skóra i kości. Musiałam go karmić łyżką, a mąż go trzymał, żeby nie upadł na podłogę. „Muszę się modlić - powtarzał. - Nie zostanę zbawiony!”. Jakby sądził, że przerażę się na dźwięk modlitwy lub wzmiankę o zbawieniu.

- Jaki grzech popełnił wasz syn? - spytałem cicho.

- Tego nam nie powiedział. Zachowywał się tak, jakby sądził, że popełnił wszystkie możliwe przewinienia. Kiedyś był zwyczajnym wesołym chłopcem. Nigdy nie zrobił niczego złego.

- Później zaczął uciekać z domu – wtrącił Daniel Kite. – Krył się po kątach i zakamarkach, gdzie mógł się modlić bez przeszkód. Musieliśmy go szukać.

- Obawialiśmy się, że umrze z zimna – dodała Minnie. – Wyślizgiwał się z domu bez płaszcza, zostawiając ślady na śniegu. – Uderzyła w stół drobną piastką w przyptywie nagłego gniewu. – Nie powinien tak nas traktować. To grzech.

Daniel Kite położył spracowaną dłoń na jej pięści.

- Nie trać wiary, Minnie. Bóg udzieli nam odpowiedzi. – Zwrócił się do mnie: – Zniknął dziesięć dni temu, gdy padało tak mocno, że nikt nie wyściubił nosa z domu. Zabierałem go ze sobą do warsztatu, gdzie mogłem mieć na niego oko, lecz stał się sprytny jak małpa. Czmychnął, gdy tylko się odwróciłem. Otworzył drzwi i tyle go widziałem. Szukaliśmy go wszędzie, lecz nie mogliśmy znaleźć. Po południu przyszedł sługa od biskupa Bonnera. Powiedział, że znaleźli Adama klęczącego przed krzyżem na dziedzińcu katedry Świętego Pawła. Błagał Boga o znak, że jest zbawiony, że zostanie przyjęty do nieba jako jeden z wybranych. Krzyczał coś o nadchodzącym końcu świata, błagał Boga i Jezusa, aby nie posyłali go do piekła w dzień Sądu Ostatecznego.

Minnie zaczęła płakać. Jej mąż zamilkł i spuścił głowę, przytłoczony emocjami. Z trudem patrzyłem na cierpienie tych prostych ludzi. To, co uczynił ich syn, było bardzo niebezpieczne. W katedrze Świętego Pawła mogli nauczać jedynie upoważnieni kaznodzieje, a zgodnie z doktryną ogłoszoną przez króla sama wiara, *sola fide*, nie wystarczała do zbawienia duszy. Jeszcze mniej prawomysłna była nauka dzieląca ludzkość na boskich wybrańców i potępionych. Spojrzałem na Meaphona. Wielebny zmarszczył czoło, przesuwając dłonią po gęstej czuprynie.

- Później postawiono go przed Radą – podpowiedziałem delikatnie Danielowi Kite'owi.

- Tak, sprowadzili go z biskupiego więzienia, do którego został wtrącony, a mnie wezwali na rozprawę. Udałem się do pałacu

Whitehall, do wielkiej izby, w której za stołem zasiadało czterech mężczyzn odzianych w bogate szaty. – Na wspomnienie przesłuchania głos Kite’a zadrżał, a na jego czole wystąpiły krople potu. – Później wprowadzili Adama. Był skuty łańcuchami, wiódł go strażnik więzienny. – Spojrzał na wikarego. – Wielebny Meaphon poszedł ze mną, lecz nie pozwolili mu mówić.

– Nie wysłuchaliby mnie – wtrącił Meaphon. – Nie spodziewałem się tego – dodał z pogardą.

W sumie dobrze się stało, pomyślałem.

– Kim byli ci ludzie?

– Ten w białych szatach to arcybiskup Cranmer. Widziałem, jak naucza w katedrze Świętego Pawła. Oprócz niego był jeszcze jeden duchowny, potężny człowiek o gniewnym spojrzeniu i brązowych włosach. Dwaj pozostali mieli szaty obszyte futrem i klejnoty. Jeden z nich był małym bladym mężczyzną o przenikliwym głosie. Drugi miał długą brązową brodę i pociągłą twarz.

Wolno skinąłem głową. Niski blady jegomość mógł być dawnym protegowanym Thomasa Cromwella, Richardem Richem, który po jego upadku przeszedł na stronę konserwatystów. Był bezwzględny i nikczemny oportunistą. Drugi z opisanych przypominał lorda Hertforda, brata zmarłej królowej Jane. Duchowny o gniewnym wyrazie twarzy był z pewnością biskupem Londynu Bonnerem.

– Co wam powiedzieli?

– Zapytali, w jaki sposób Adam znalazł się w tym stanie, na co udzieliłem szczerzej odpowiedzi. Ten o bladej twarzy oświadczył, że jego słowa brzmią jak herezja i że chłopak powinien spłonąć na stosie. Wtedy Adam zerwał się z krzesła i padł na kolana, rozpaczliwie prosząc Boga, aby go ocalił. Sędziowie kazali mu wstać, lecz przestał zwracać na nich uwagę, zupełnie jakby byli muchami. Arcybiskup zawyrokował, że Adam postradał rozum i że należy go wysłać do Bedlam, aby spróbowali go wyleczyć. Ten blady upierał się, żeby postawić mu zarzut herezji, lecz dwaj pozostali nie chcieli się z nim zgodzić.

– Rozumiem. – Pomyślałem, że Rich chciał spalić na stosie następnego protestanckiego radykała, by zyskać przychyłność w krę-

gach tradycjonalistów. Natomiast Cranmer, jako człowiek z natury łaskawy, nie chciał, aby w mieście zapłonął kolejny stos. Osadzenie Adama w Bedlam przynajmniej na chwilę rozwiązałoby problem.

Wolno skinąłem głową.

- Prowadzi nas to do kwestii zasadniczej – powiedziałem, spoglądając im w oczy. – Czy Adam faktycznie oszalał?

- Nie widzę innej możliwości – odparła Minnie.

- Jeśli nie jest obłąkany, panie, może być z nim jeszcze gorzej – dodał Daniel Kite.

- Gorzej? – zapytałem.

- Może być opętany – stwierdził lakonicznie Meaphon. – Tego się obawiam. Lękam się, że opętał go diabeł, każąc mu publicznie szydzić z bożego miłosierdzia. Gdyby tak było, mogłaby go ocalić jedynie modlitwa. Wspólne zmaganie się z szatanem.

- Sądziś pan, że to możliwe? – spytałem kamieniarza.

Daniel Kite spojrzał na Meaphona, a następnie ukrył twarz w wielkich dłoniach.

- Nie wiem, panie. Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli to prawda.

- Myślę, że Adam pogrążył się w stanie głębokiego zagubienia i lęku. – Minnie popatrzyła na mnie, a następnie utkwiała wzrok w Meaphonie. Wówczas odkryłem, że z ich dwojga to ona jest silniejsza. Spojrzała na mnie ponownie. – Niezależnie od tego, jak jest, pobyt w Bedlam go zabije. Zamknęli go w chłodnej celi. Nie rozpalają tam ognia. Chłopak nie dba o siebie, nic tylko klęczy i modli się. Możemy być z nim jedynie godzinę dziennie. Chcą trzy szylingi miesięcznie za opiekę. Nie możemy sobie na to pozwolić. Nawet gdybyśmy zapłacili, nie zmusiliby go do jedzenia lub zadbania o siebie. Nadzorca będzie rad, jeśli chłopak umrze. – Spojrzała na mnie błagalnie. – Lękamy się o niego.

- Bo jest opętany?

Skinęła głową.

- Przecież w to wątpicie?

- Nie wiem. Po prostu sama nie wiem. Lecz jeśli zostanie w Bedlam, na pewno umrze.

- Powinni go wypuścić i oddać pod moją opiekę – powiedział

Meaphon. – Tego jednak nie zrobią ci zatwardziali grzesznicy i papiści zasiadający w Radzie.

– Wszyscy jesteście zgodni, że chłopak nie powinien przebywać w Bedlam – zauważyłem.

– Tak, panie. – Ojciec chłopaka ochoczo skinął głową, rad, że w jakiejś sprawie udało się nam dojść do zgody.

Pomyślałem chwilę, a następnie powiedziałem:

– Widzę dwa problemy. Jeden ma związek z jurysdykcją. Każdy człowiek, któremu brak pieniędzy na zatrudnienie prawnika, ma prawo wnieść zażalenie do Sądu Prób, choć sędzia może uznać, że chodzi o sprawę wagi państwowej, która powinna wrócić do Tajnej Rady. Jeśli nie możecie zapłacić za pobyt syna w Bedlam, poprosimy, aby Rada wzięła to na siebie. Sąd może podjąć interwencję, aby położyć kres złemu traktowaniu. Uwolnienie Adama jest znacznie trudniejszą sprawą. – Przerwałem, żeby wziąć oddech. – Nawet gdyby go wypuścili, co by się stało, gdyby ponownie uciekł? Gdyby powtórzył się incydent, do którego doszło przed katedrą Świętego Pawła? Gdyby został oskarżony o herezję? Powiem szczerze: jeśliby udało nam się poprawić warunki, w których przebywa, Bedlam byłoby dla niego najbezpieczniejszym miejscem, chyba że odzyskałby rozum. Wejście w spór z Tajną Radą jest bardzo niebezpieczne. – Nie wspomniałem o nieszczęsnym Johnie Collinsie, lecz z ich twarzy wyczytałem, że pamiętają, jaki los go spotkał.

– Trzeba go uwolnić – stwierdził z naciskiem Meaphon. – Jedyłą nadzieją dla Adama jest zrozumienie, że to Bóg zesłał na niego próbę i że nie wolno mu wątpić w Jego łaskę. Niezależnie od tego, czy opętał go diabeł, czy poraziło mu rozum z innej przyczyny, tylko ja wraz z innymi duchownymi możemy mu pomóc. – Spojrzał na rodziców Adama.

Daniel Kite powiedział „Amen”, lecz Minnie spuściła wzrok.

– Nie wypuszczaj go, dopóki członkowie Rady nie uznają, że odzyskał rozum – powiedziałem. – Wiem jednak, co możemy dla niego zrobić. Znam dobrego medyka, który może go zbadać. Może nawet zdoła mu pomóc.

Daniel Kite zdecydowanie pokręcił głową.

– Medycy to ludzie bezbożni.

- Ten jest wzorem pobożności - rzekłem. Pomyślałem, że lepiej nie wspominać, że Guy był kiedyś zakonnikiem i że w sercu pozostał katolikiem.

Kite miał nadal wątpliwości, lecz Minnie rozpaczliwie uchwyciła się słomki, którą jej rzuciłem.

- Proszę, przyprowadźcie go, panie. Spróbujemy wszystkiego. Nie mamy jednak pieniędzy, aby mu zapłacić...

- Jestem pewien, że jakoś się dogadacie.

Spojrzała na męża. Ten zawahał się i popatrzył na Meaphona.

- To z pewnością nie zaszkodzi.

Zareagowałem natychmiast, ponieważ Meaphon zrobił taką minę, jakby chciał się sprzeciwić.

- Nie mam wątpliwości, że będzie to właściwe rozwiązanie, najlepsze dla Adama. Tymczasem poproszę o zapewnienie mu należytej opieki i poproszę o zwolnienie z opłat. Sąd Prób jest tak zavalony sprawami, że sędzia musi zostawać po godzinach, by nadgonić zaległości. Jeśli szczęście nam dopisze, sprawa zostanie rozpatrzona za tydzień.

- Dziękuję, panie - odrzekła Minnie.

- Nie ryzykowałbym jednak prośby o wypuszczenie Adama, dopóki jego stan nie ulegnie poprawie. - Spojrzałem na Meaphona. - Taki wniosek zostanie niechybnie odrzucony.

- W takim razie będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co powie ten medyk - odparł cicho, choć jego wzrok był pełen wrogości.

- Myślę, że powinienem pójść do Bedlam. Przywołać do porządku nadzorcę szpitala i zobaczyć Adama.

Kite'owie spojrzeli na siebie z zaniepokojeniem.

- To miło z twojej strony, panie, lecz muszę ostrzec, że chłopak znajduje się w stanie głębokiego obłądzenia - rzekł Daniel Kite.

- Widziałem wiele smutnych rzeczy w mojej karierze - odparłem, choć w głębi duszy wzdrygałem się przed tą wizytą.

- Odwiedzimy go jutro o dziewiątej - powiedziała Minnie. - Czy moglibyście wtedy przyjść, panie?

- Tak, jestem wolny przed posiedzeniem sądu.

- Wiecie, jak tam dotrzeć? Trzeba przejść bramą Bishopsgate, a następnie poszukać bramy do Bedlam.

- Przyjdę. - Uśmiechnąłem się do niej i wstałem. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, lecz sprawa jest trudna.

Wyprowadziłem ich z gabinetu. Meaphon został w drzwiach, czekając aż Kite'owie przejdą do zewnętrznej izby.

- Nie sądzę, żeby medykowi się udało - odezwał się cicho. - Ścieżki Pana są niezbadane, lecz w końcu obdarzy wierzących swoim pokojem. Także Adama. - Szare oczy Meaphona zapłonęły pod krzaczastymi brwiami. Zwróciłem uwagę, że w jego zachowaniu było coś osobliwie aktorskiego, jakby odgrywał rolę Cnoty na oczach całego Londynu.

- Owszem - odparłem. - Będę się modlił, aby biedny chłopak znalazł spokój duszy.

- Pójdziemy do kościoła - oświadczył. - Będziemy się modlić w jego intencji.

Kiedy odszedł, wróciłem do biurka i spojrzałem na rozrzucone papiery. Zbliżyłem się do okna i wyrząłem na zalany deszczem dziedziniec. Kite'owie przeszli obok, trzymając czapki i pochylając głowy, aby chronić się przed podmuchami wiatru. „Nie jest jednym z nas - usłyszałem Meaphona. - Nie zostanie zbawiony na sądzie”.

Patrzyłem, jak rodzice Adama Kite'a zmierzają w kierunku bramy, pewny jednej rzeczy: teraz to ja byłem odpowiedzialny za ich syna. Musiałem osądzić, co leży w jego najlepszym interesie, a wątpiłem, by przedwczesne zwolnienie z Bedlam mu pomogło, niezależnie od tego, co powie Meaphon. Byłem również przekonany, że Minnie Kite przedłoży ponad wszystko dobro syna i mnie posłucha.

Wróciłem do zewnętrznej izby. Barak siedział przy stole, z poważnym wyrazem twarzy wpatrując się w ogień. Skoczył na równe nogi, gdy wymówiłem jego imię.

- Zamyśliłeś się - powiedziałem.

- Zastanawiałem się, czy iść do balwierza, czy poczekać, aż przestanie padać. Wikary spojrzał na mnie wrogo na odchodnym.

- Bez wątpienia uznał cię za bezbożnika. Usłyszałem, jak przechodząc pod naszymi oknami, raczył mnie łaskawie skazać na wieczne potępienie. - Westchnąłem. - Pewnie zamknął się z Ada-

mem Kite'em w jakiejś izbie i modlili się dwa dni. Namówił chłopaka do postu, choć tak wychudł, że zostały z niego skóra i kości. Przez moment zastanawiałem się, czy czystki Bonnera nie byłyby dobrą rzeczą. W porządku – dodałem, widząc, że Barak spogląda na mnie ze zdziwieniem – wcale tak nie pomyślałem. – Westchnąłem ponownie. – Zacząłem się zastanawiać, czy ci ludzie są naszą przyszłością, czy są prawdziwym owocem religijnych reform. Ta myśl mnie przeraża.

– Mimo to wzięłeś ich sprawę?

– Musiałem. Będę bardzo ostrożny, nie martw się. Chcę, żeby Guy zbadał chłopaka, najpierw muszę go jednak odwiedzić.

– W Bedlam?

– Tak, jutro – odparłem i westchnąłem.

– Mogę z tobą pójść.

– Nie, powinienem udać się tam sam. Mimo to dziękuję.

– Szkoda. – Barak westchnął. – Chciałem się przekonać, czy to prawda, że w okolicy słychać takie jęki i krzyki, że motłoch umyka w popłochu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).